

Wojciech Stanisławski: Towarzyski niewiasty

Książka Błażeja Brzostka to niezwykle wierny zapis życia codziennego w PRL. Ale też potężna dawka emancypacji.

Czy ktoś poza mną czeka na wielką powieść o PRL? Powieść, która nie ograniczałaby się do świadectwa o „polskich miesiącach” i prześladowaniach (jak, stale zresztą niedoceniony, cykl Janusza Krasińskiego) ani o rozterkach i grach z władzą wielkomiejskich elit, opisywanych przez Brandysa, Konwickiego czy Antoniego Liberę? Powieść, która opisywałaby życie zwykłych ludzi, nie będąc jednak zarazem powieścią wiejską, produkcyjniakiem czy szmirą obyczajową, nie przemilczałaby różnych wymiarów opresyjności władzy czy trudów codziennego życia? Która po balzakowsku opisałaby wszystkie „stany”, od dojarki i prządki po chirurga, dyrektorkę przedszkola i sekretarza, wszystkie etapy ludzkiego życia, od powijaków po garsonkę do trumny, i która, w miejsce skupienia na kilku dniach lub miesiącach, płynęłaby w rytmie lat i dekad? Powieść, która, jak u XIX-wiecznych naturalistów, mimochodem, w tle wielkich namiętności i dramatów, zdawałaby sprawę ze sposobów przyrządzania potraw i wchodzących w życie nowych technologii, przedstawiałaby stragan, rynsztok i sień?

Jeśli tak, mam dobrą wiadomość: nawet, jeśli taka powieść nie została jeszcze napisana, można wyobrazić ją sobie (a kto obdarzony darem fabularyzacji, wręcz ułożyć w głowie) w oparciu o najpełniejszy chyba, jaki dotąd powstał, zapis codziennej egzystencji w PRL, dokonany przez

Błażeja Brzostka – historyka, który ma już w swoim dorobku prace tak wybitne jak „Paryże innej Europy. Warszawa i Bukareszt, XIX i XX wiek” (2015) czy rewelacyjne „Wstecz. Historia Warszawy do początku” (2021).

Pisząc „Życie codzienne kobiet w PRL” dokonał nie tylko bardzo poważnej pracy badawczej i pisarskiej. Podjął również – wcale nieoczywistą dla wielu autorów, piszących wedle zastanych schematów – refleksję nad tym, jak opisywać „codziennosc” w całej jej niepochwytności, co składa się na nią, jakie elementy „wielkich narracji” należy w niej uwzględnić. A jednocześnie – zrehabilitował, a przynajmniej uczynił problemem badawczym całą PRL-owską kulturę materialną: w ogromnej większości ubogą, zgrzebną, przasną, toporną, a w próbach naśladowania „zachodnich standardów” zwykle zarazem żenującą i (z perspektywy lat) zabawną.

Przeczytaj również: książkę Magdaleny Gawin „Bilet do nowoczesności”

To dziedzictwo przechodziło wielkie przemiany, dokonujące się tym szybciej, że w latach 90. i później nałożyły się na siebie trzy co najmniej procesy: odzyskanie wolności politycznych, przywrócenie wolnego rynku (i, po wszystkich udrękach transformacyjnych, wzrost poziomu życia) oraz dokonująca się w całym świecie rewolucja technologiczna. Świat fiatów 126p, zupek instant, wyrobów czekoladopodobnych, kartek, „ciuchów” komunijnych i ślubnych, siatek, kolejek i koniaków w roli łapówki został najpierw (słusznie!) przeklęty, potem zapomniany, wreszcie – przywrócony w manierze „gabinetów osobliwości”, zwanych dziś „Muzeami PRL” (znaleźć je można w każdym kurorcie nadmorskim, obok wystawy „średniowiecznych narzędzi tortur” i drugiej, prezentującej jadowite pająki!) względnie nostalgizowany przez co

bardziej rozgoryczonych boomerów, wspominających jako idyllę klucz na szyi i mleko z aluminiowym kapsłem. A w dodatku zgłajszachtowani: prawem przemijających pokoleń jako „PRL” wspominany jest głównie schyłek dekady gierkowskiej plus jaruzeliada. Relacji o życiu codziennym w czasach Gomułki trzeba by szukać w opowiadaniach Marka Nowakowskiego, z wcześniejszymi jeszcze trudniej.

Błażej Brzostek, pisząc o kobietach – nie z własnej woli, mocą dyktatu ról społecznych bliższych życiu codziennemu – opisuje je w niezrównany sposób: nie sposób spamiętać wszystkich „obrazków rodzajowych”: plastycznych, czasem brutalnych, czasem wzruszających scen i sytuacji rozgrywających się na porodówce, na rynku małego miasteczka, w ciasnej łazience i w fabrycznej szatni, nie sposób ich nawet przyswoić w jednorazowej lekturze.

To nagromadzenie dowodów i faktów służy w książce Brzostka bardzo przemyślanej narracji: może najciekawszym, najbardziej nowatorskim dla mnie rozwiązaniem jest wyróżnienie przezeń w pierwszej części książki (zbyt chyba skromnie zatytułowanej „rozdziałem”) kilkunastu cykli, w których toczyło się życie kobiet w PRL: rozpoczynając od tak podstawowego, jak uprawa roślin, poprzez cykle koniunktury i kryzysów, cykl – bagatela! – grzewczy, przez rytmy roku kościelnego i liturgii, wypłat i urlopów, cykl szkolny i tygodniowy (ze zmieniającym się rozumieniem i rolą niedzieli i „weekendu”), po cykle fizjologiczne, aż po narodziny i śmierć.

Wraca Brzostek do tej cyklicznej wizji w trzeciej części książki, opisując „Pory [dnia]”, a w ich ramach – czynności i powinności kobiet, od „Obudzić się, zrobić się i ubrać” po, dwieście stron i kilkanaście godzin dalej, „spać”. Wszystko to, oczywiście, w perspektywie PRL-owskiego czterdziestolecia, dodatkowo opisanej w części środkowej („Linie”) skupionej na opisanu specyfiki „polskich lat” (1947, 1955, 1981...) – znów jednak postrzeganych przede wszystkim z perspektywy i w relacjach kobiet. To rzecz niesłychanie odkrywczą, stwarzającą nowe perspektywy opisywania życia codziennego i społecznego. Rzadko się zdarza, by już lektura spisu treści dostarczała takiej satysfakcji.

Błażej Brzostek doszedł do tej wizji za sprawą refleksji nad samą naturą „codzienności” – i buntu wobec obowiązujących reguł jej opisywania („Pisząc o życiu codziennym kobiet, czuję się zobowiązany nie do definiowania, czym jest codzienność – bo nie wierzę w dobre definicje – ile do obserwowania i nasłuchiwania, czyli tych samych praktyk, jakie mogę stosować wobec codzienności, w jakiej jestem zanurzony”). Definicji rzeczywiście nie otrzymujemy – w zamian dane nam zostały fascynujące rozważania nad naturą biegu pospolitych dni i na tym, jak jest niepochwytny: od nawiązania do filozofki Jolanty Brach-Czajny, której dorobek po latach wraca, i do jej przypominającej haiku refleksji, ze spadającą z ziemniaka obierką można uznać za koncentrat codzienności, po odwołanie się do wizji „instytucji totalnych” Ervinga Goffmana i paradoksalną konkluzję, że chociaż życie w ramach tych instytucji wydaje się stanowić zaprzeczenie codzienności, jest przecież jej esencją.

Powstała praca opisująca i organizująca ogromną różnorodność losów i „kondycji ludzkich”, niezwykła nie tylko za sprawą metody, lecz również wykorzystanych źródeł i języka. Książki o życiu codziennym z reguły są pod pierwszym z tych względów mniej ortodoksyjne niż prace z zakresu historii politycznej, chętniej karmiąc się anegdotami, kronikami, beletrystyką, a jeśli jest to możliwe – również nowszymi źródłami, w rodzaju cytatów z kronik filmowych czy seriali lub wiecznie żywych plotek. Ilość jednak materiału, przetworzonego przez Brzostka – do powyższego należałoby dodać również potężny dorobek badań socjologicznych (często prowadzonych w jednej wsi czy zakładzie pracy), pamiętniki pisane w ramach konkursów i spontanicznie, „fotografię socjologiczną” czy PRL-owskie pisma kobiece, wraz z rubryką listów do redakcji – budzi ogromny szacunek. Jeśli wolno, wzorem opisywanego autora, nawiązać do frazeologii z epoki – jest to naprawdę pełnowartościowy zamiennik wielkiej powieści o życiu w PRL.

Zamiennik, który tym łatwiej mógłby się stać wielką powieścią, że ponadprzeciętne są kompetencje językowe autora. Pamiętam to z jego poprzednich książek – ale w „Życiu codziennym...” szczególnie rzuca się w oczy przekorny aż dystans wobec sformalizowanego, nieraz wręcz zrytualizowanego języka monografii naukowych z pogranicza historiografii i socjologii. Ta książka, oferująca dziesiątki nowych perspektyw czy propozycji interpretacji, stale „zrywa się z arkana”, kwestionuje wzorce tego rodzaju prac, wyłamując się z nich za sprawą kontrolowanych dygresji, temperamentu polemicznego, ale i świetnych literacko fraz („Rozbudzała się obsesja czystości (...), pełnej kontroli nad terytorium, które wciąż próbują podbijać siły nieporządku, plamy i smugi, pająki i rybiki” – pisze Brzostek o porządkach sprzątnia

łazienki; „obywatele uwolnieni od studni i węgla stali się zależni od kurka i kaloryfera” – czytamy z kolei o zimie stulecia), ale i gier językowych.

Pomysłów na nie ma autor mnóstwo: od wplatania w główny tekst książki nawiązań do wcześniej cytowanych relacji bohaterek, przez kolokwializmy, po chwyt formalny z trzeciej części książki, poświęconej „Porom [dnia]” gdzie jako tytuły kolejnych podrozdziałów użyte zostały określenia czynności wykonywanych w danym przedziale czasu przez kobiety, Frazy „Wysikać się”, „Oprać”, „Spać” drażnią i rażą – ale to oczywiście świadomy zabieg. Użycie trybu rozkazującego i nawiązanie do najbardziej znanego w humanistyce tytułu „bezokolicznikowego” („Nadzorować i karać” Foucault) pozwala, jak rozumiem, umocnić tezę ze wstępu, w myśl której codzienność można łatwiej opisać odwołując się do doświadczeń z instytucji totalnych – i raz jeszcze ukazać kobiety jako zbiorowość (i jednostki) stale poddane wielowymiarowej opresji.

Bo też „Życie codzienne...” napisane zostało – czas to odnotować – w duchu mocno polemicznym, przybierającym różne barwy emocjonalne: od sarkazmu i uszczypliwości, przez irytację, po (chwilami) zimną pasję.

To pisanie „na kontrze” najlepiej jest otamowane (i zarazem najbardziej zrozumiałe) w przypadku polemik metodologicznych: Błażej Brzostek, pisząc o życiu codziennym w PRL, musiał odnieść się do tego, czym PRL była. I, odnotowując, że Polska Ludowa „opisywana [bywa] często jako «reżim totalitarny»” zaznacza zarazem, że pojęcie to jest często kwestionowane: „jedni je odrzucili, drudzy [konserwatyści! – ws] się go trzymają”. Sam nie zajmuje w tej debacie stanowiska,

opisując jednak PRL ani razu nie używa terminu, którego niektórzy jeszcze się trzymają, znajdując dlań wiele łagodzących, socjologizujących synonimów: pisze o systemie ograniczającym wolność, o „władzy hegemonicznej”, o „reżimie stalinowskim”, i o ambicjach, by demokrację przedstawicielską zastąpić demokracją społeczną. Nie zmiękcza żadnej z prywacji PRL ani nie przemilcza jej zbrodni, w żadnym razie się nie skupia się na tych drugich, traktując „władzę” (od posterunkowego po KC) czysto funkcjonalnie, jako źródło norm, praw i opresji.

To funkcjonalistyczne spojrzenie zgrzytać może szczególnie, gdy przyłożone zostaje do kwestii wiary i religijności, szerzej – funkcjonowania w Kościele. Tu również książka Brzostka dostarcza wiele rzetelnej wiedzy, bardzo ciekawe są dane z badań prowadzonych przez OBOP i KUL, cytaty z pamiętników i relacji. Zarazem jednak Kościół postrzegany jest przez autora w przeważającej mierze jako analog Partii, źródło „zewnętrznych” norm – i opresji. „Kobiety albo żyły pod silniejszą presją kultury katolickiej [niż mężczyźni], albo silniej się z nią utożsamiały” – niewiele w tym zdaniu miejsca na jakiegokolwiek dobrowolne „*fiat*”. Jeszcze mniej w konkluzji „Kościół był zarazem miejscem władzy. Samo spowiadanie się, zawsze wobec mężczyzny, ukazywało oczekiwaną podległość kobiety zobowiązanej do wyznawania spraw dotyczących jej życia intymnego”. Ciekawa rzecz, te porażki opisywania żargonem socjologii sakramentu pojednania: są dla czytelnika zabawne i przykre jednocześnie.

Niechęć do opisywania politycznego wymiaru PRL staje się tym bardziej zrozumiała, gdy – również we „Wprowadzeniu” do pracy – jej autor dystansuje się wobec wizji czasu historycznego jako ciągu zdarzeń, przez które rozumiano przede wszystkim fakty polityczne.

Tymczasem – tu oddajmy głos autorowi – „Polityka była zdominowana przez mężczyzn i do dziś to oni jawią się na kartach podręczników jako kreatorzy wielkich rytmów historii”. Tak, zapewne tak było – trudno jednak nie usłyszeć w powyższym zdaniu przygany, w kolejnym zaś niemal przeprosin za to, że część druga książki, przywołująca, jak już wspominałem, „polskie miesiące” i „polskie lata”, a zatem polityczną linearność skażona jest „konformizmem metodologicznym”. Ten sprzeciw wobec narracji politycznej i heroizującej daje się usłyszeć w wielu fragmentach książki: charakteryzując np. więzienie w Śremie autor pisze: „W dzisiejszych narracjach historycznych podkreśla się, że trzymano w nim więźniów politycznych (...). Większość «pensjonariuszy» znajdowała się tam jednak z innych powodów i dlatego trudniej zaistnieć im w zbiorowej wyobraźni”.

Posłuchaj podcastu: Wzornictwo PRL-u – nostalgia i nowoczesność

Sprzeciw wobec „zmowy mężczyzn”, potrzeba jej demaskacji jest jednak i bardziej żarliwy, i przede wszystkim znacznie szerszy obecny niż inne polemiki. Jest to założenie pewnie zrozumiałe w przypadku pisania każdej „historii kobiet”, tym bardziej – w czasach PRL, z jednej strony obfitujących w przemilczenia i propagandowe sztafaze, z drugiej – z dzisiejszej perspektywy bardzo zmaskulinizowanych, zdominowanych przez mężczyzn w warstwie podejmowania decyzji na wszystkich szczeblach, od „sterów państwa” po życie rodzinne. A jednak po kilkudziesięciu stronach ta determinacja autora, by wskazać „ukryte mechanizmy dyskryminacji” zaczyna – tak, pewnie w większym stopniu w oczach męskiego czytelnika – przypominać zaciekleść i trochę nużyć. Bardzo ciekaw byłbym, swoją drogą, rozmowy o trybach lektury i odbioru tej książki, bo przecież nie sądzę, by moja reakcja wynikała z solidaryzowania się z „grupą mężczyzn, którzy [w 1945 r.]

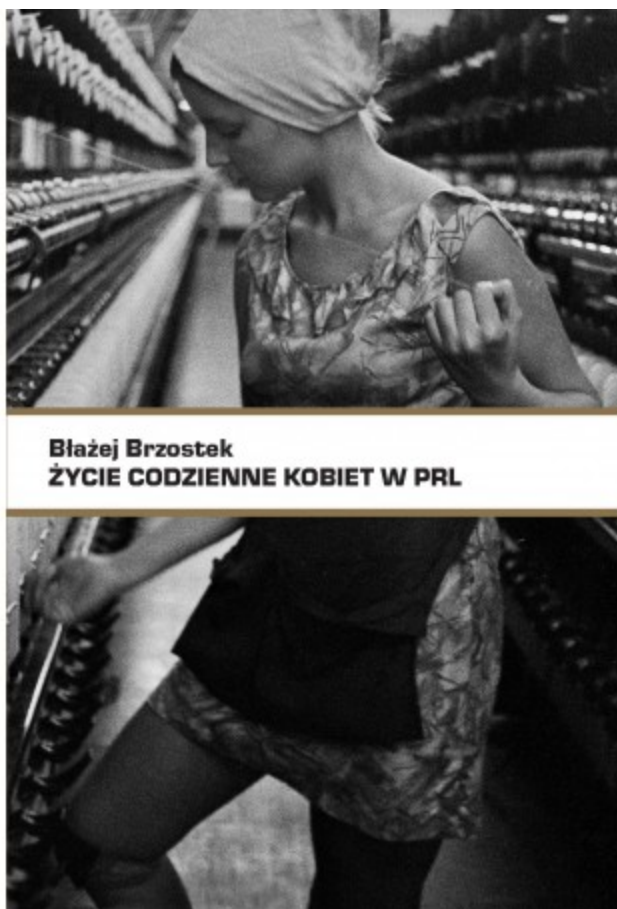
zajęli kluczowe stanowiska dzięki opanowaniu przez Moskwę polskich terytoriów”, przemocowymi nastolatkami czy korpusem menedżersko-dyrektorskim – a to tego rodzaju winowajcy znajdują się przede wszystkim na celowniku autora.

Zastanawiam się, czy to autor pozwalał sobie na coraz większą zaciekłość, czy mnie coraz silniej ona nużyła. O ile bowiem większego wrażenia nie robiły trybutarne aluzjki i złośliwości (a to dowiadujemy się, że autorytarnym władzom zdarza się, owszem, uderzać w Trybunał Konstytucyjny, a to, że biografia Anny Walentynowicz pióra Sławomira Cenckiewicza to „płaski i hagiograficzny portret”) – z biegiem stron nabierałem wrażenia, że Błażej Brzostek, walcząc z, jak pisze zgoła nieironicznie, „tradycją obwiniania kobiet o całe zło tego świata” prawem reakcji źle reaguje na jakiegokolwiek odnotowane przezeń przejawy krytyki czy niezyczliwości.

Kiedy Zygmunt Mycielski w swoich dziennikowych zapiskach pisze cierpko o niedouczonej, wyfiokowanej urzędniczce, zaś Kisiel podkpiwa sobie nieco z „kulfoniastych nieco chłopskich dzieci, czyli dziewczyn (...) z malowanymi na niebiesko oczami” – obaj zostają podsumowani krótko i węzłowato jako „panowie starej daty” (Mycielski pozwalając sobie na przytoczony powyżej akt wołającego o pomstę antyfeminizmu miał 58 lat; Kisielewski dobiegał sześćdziesiątki). Dostać się może nawet kobiecie, jeśli pozwoli sobie na niestosowny ton: uwaga wybitnej dziennikarki Ewy Berberyusz, która, udręczona opryskliwością pielęgniarki, napisze że ta „szła niechętnie, dzwoniąc kolczykami” przyrównana została przez Brzostka do lamentacji Izajasza, gromiącego córki syjońskie „zasługujące na karę z powodu braku skromności”. Ta

pasja nieco nuży; choć odnotować można, być może w patriarchalnym duchu, że podobna żarliwość w obronie dobrego imienia kobiet jest niewątpliwie cnotą rycerską.

Wojciech Stanisławski



Błażej Brzostek, „Życie codzienne kobiet w PRL”, PIW, 2025

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „**Czytelnia publiczna**” ukazują się co dwa tygodnie.

➤ **Przeczytaj wcześniejsze**